

The background of the cover is a dark, atmospheric illustration of a forest. A figure in a black hooded cloak stands in the center, looking towards a large, white, tent-like structure in the distance. The scene is lit with a mix of green and purple light, creating a mysterious and slightly eerie mood. The title is written in a white, serif font at the top.

VATANI

POZDROWIONA

SZYMON CHWALIŃSKI

VATANI
POZDROWIONA

Copyright © 2022 Szymon Chwaliński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie, w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych, również częściowe, tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Redakcja i korekta: Słowa na warsztat (sloanawarsztat.pl)

Opracowanie okładki: emmaste3 by fiverr.com

Skład i konwersja: Studio Grafpa (grafpa.pl)

ISBN 978-83-948841-1-6

SZYMON CHWALIŃSKI

VATANI
POZDROWIONA

chwalinskis.pl

Spis treści



Prolog	7
Madeleine	13
Rozdział I: Wstrzymałam oddech	15
Rozdział II: Nie dam. Sobie. Rady	25
Rozdział III: Hexagon. Miasto u szczytu	37
Rozdział IV: Wróżenie z fusów	45
Rozdział V: Biblioteka Zbiorów Zakazanych	51
Rozdział VI: Wari Ata. Miasto Wisielców.	57
Rozdział VII: Nieoczekiwany zwrot sytuacji	65
Rozdział VIII: Gdy wieczność nie trwa... wiecznie?	71
Rozdział IX: Strach i panika	77
Rozdział X: Wspomnienia o listach	85
Rozdział XI: Pewnego razu w karczmie	97
Rozdział XII: Pan X	107
Rozdział XIII: Historia zakazanej miłości: część pierwsza.	117
Rozdział XIV: Powrót – nie ma jak w domu	127
Rozdział XV: Ostatnia Pozdrowiona. Rytuał	139
Rozdział XVI: Tajemniczy posłaniec.	147
Rozdział XVII: Odmawiać czy odmieniać?.	159

Historia zakazanej miłości: część druga Rozdział XVIII: Własna wizja przeznaczenia	171
Rozdział XIX: Ciekawość to pierwszy powód do obaw	181
Rozdział XX: Krew mierzona w przekleństwach	193
Rozdział XXI: Drogi powstają z kamieni	201
Rozdział XXII: Sąd na szczycie	211
Historia zakazanej miłości: część trzecia Rozdział XXIII: Pozdrowieni czy potępieni?	223
Rozdział XXIV: Bliskość ściany i samotności	235
Rozdział XXV: Śmierć jest drogą... na skróty	241

Adriannie, bez której brakłoby mi odwagi

Prolog



„Szczere słowa mogą zabołec,
lecz tylko ból sprawia, że rośniemy w siłę”

(FRAGMENT PRZEMÓWIENIA

CESARZA EREVETA I PRZED BITWĄ O MER-RAD)

Są miejsca, z których nie ma już powrotu. Madeleine o tym wiedziała. Zrobiła coś głupiego, naprawdę głupiego i czuła, że nadchodzi jej ostatni oddech. Wstrzymała go. Naiwnie wierzyła, że w ten sposób opóźni wykonanie wyroku. Nadchodził jej czas. Była w ciasnym więzieniu, za jakie trafnie uznała brudne i niewygodne leże potwora. Czym był? Jak wyglądał? Nie wiedziała. Lewą ręką zasłoniła sobie oczy, a prawą owinęła wokół zgrabnej talii. Tak czuła się bezpieczniej. Niestety w rzeczywistości było to tylko złudzenie.

Znalazła się w trudnym położeniu. Śmierć. Po raz pierwszy czuła jej prawdziwy zapach. Na myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Spięcie rozchodzące się po jej ciele sprawiło, że poczuła silne pieczenie. Dotknęła swojej nogi. Była lepka i ciepła. Zraniła się. Kiedy do tego doszło? Zanim zdążyła się zorientować, coś poruszyło się w mroku. To musiał być on. Czy przyciągnęła go do mnie krew? To było już nieistotne.

Był olbrzymi, na ciele posiadał liczne rany. Dłonie miał opuchnięte, a włosy tłuste i obrzydliwe. Siwe? Tak, chyba siwe. Nie potrafiła dostrzec więcej szczegółów. Było ciemno. Panicznie ciemno. Strugi światła z trudnością przedostawały się przez gałęzie drzew rosnących u wylotu jaskini. Muszę się stąd wydostać. Tylko jak ominę tego stwora? – panikowała.

Już wcześniej wiedziała, że jest w tarapatach, ale dopiero teraz dotarło to do jej świadomości. Nie знаła się na potworach, nie miała pojęcia, co mógł z nią zrobić. Czy pożre mnie żywcem? Nie wygląda na takiego, co jada rośliny. Madeleine się nie myliła. Ugrzęzła w jaskini trolla, który uwielbia mięso.

Blżej. Był już coraz bliżej. Jego brązowe ślepie potwierdziły to, co od kilku chwil sygnalizował mu węch. Obiad. Jest. Nie uciekł. Troll zrobił kilka kroków tak gwałtownych, że zatrzęsła się ziemia. W końcu zatrzymał się tuż przed nią. Dziewczyna poczuła wstrętny odór, jaki ciężko było z czymkolwiek porównać wysoko urodzonej osobie. Nigdy nie była tak blisko czegoś równie ohydneho. Gdyby nie paraliżujący strach, pewnie by zwymiotowała. Przerażona skuliła się na ziemi. Nie dam sobie rady. Nie dam. Sobie. Rady – panikowała. W tamtej chwili stało się coś niewyobrażalnego. Jej myśli odbiły się od ścian i wróciły do niej wraz z echem. Dźwięk utworzył spiralę, ściany wibrowały, a wyjście z jaskini stało się niemożliwe.

Zasypała siebie żywcem.

Troll obezwładniony dźwiękiem krążącym po jego leżu upadł i złapał się za głowę. Madeleine była za bardzo wystraszona, żeby się ruszyć, i za słaba, żeby cokolwiek mu zrobić. Niby czym miałyby go zabić? Jej wytworny strój nie pasował do aktualnego położenia. Miała na sobie czerwoną, skórzaną kurtkę, na której od pasa do szyi przytwierdzone były drogie kamienie w kolorze burgundu. Spodnie wykonane były ze skóry turkusowego węża licznie występującego na zachodnim brzegu Krwawej Rzeki. Były unikatowe, ponieważ uszyto je z największego osobnika tego gatunku, jakiego widziano od pojawienia się Starożytnych. Za sam ubiór warto było ją napaść. To jednak nie wszystko. Miała przy sobie jeszcze drogi pierścionek, który dostała od ojca w dniu czternastych urodzin. Legendy powiadały, że służył do wykonywania czarnych obrzędów. Nie była już dzieckiem. Magia i kamienie kręciły ją, od kiedy dostała pierścień. Czary jako watańskie upodobania zostały dawno zakazane. Dla niej

nie stanowiło to przeszkody. Nazywała się przecież Madeleine Eleonore Caroline. Była córką Cesarza.

To główny powód, dla którego nie mogła znaleźć żadnej pomocy i utknęła w tej przeklętej jaskini. Uciekła z zamku w Inu Watu, gdyż jako pełnoletnia, siedemnastoletnia dziewczyna miała poślubić księcia z dalekiej krainy. Nie wiedziała nawet, skąd pochodził ani dlaczego właśnie za niego powinna była wyjść za mąż. Nie godziła się na to. Uknęła podstęp. Razem z królewską świtą wybrała się na polowanie, podczas którego postanowiła uciec. Oddzieliła się od reszty i pojechała przez Las Milczących. To tam spadła z konia i niefortunnie trafiła wprost do leża wielkiego trolla. Nie tak miało być. Chciała uciec do wujka, on na pewno ochroniłby ją przed nierozsądną decyzją ojca. Kochał ją, lecz czy przeciwstawiłby się Cesarzowi? Madeleine nie miała czasu, by odpowiedzieć sobie na to pytanie. Troll zaczął dochodzić do siebie.

Skoro i tak nie widziała żadnej drogi ucieczki, wstała i podeszła bliżej bestii. Wymyśliła sobie, że gdy potwór się obudzi i zobaczy jej spojrzenie, uzna, że to ona go otumaniała. Głupi pomysł. Trolle nie odczuwają strachu tak jak ludzie. Zwłaszcza te, które są wściekłe i głodne. Madeleine czuła się bardzo zagubiona. Nie wiedziała, jakim cudem jej myśli opuściły umysł i spowodowały chaos. Była o krok od obłądu.

To, co wydarzyło się raptem kilka chwil później, wprawilo ją w osłupienie. Troll złapał się za obolałą głowę i po paru nieudanych próbach ostatecznie podniósł swoje masywne ciało. Widok dziewczyny wcale go nie przestraszył.

– Troll być wściekły. Nie głodny. Przeszło mu. Zabić. Głupia. Zjeść później! – wydarł się, a na twarzy Madeleine znowu pojawiło się przerażenie.

Troll najpewniej rozszarpałby ją na małe kawałki, a później ugotował z niej zupę, napotkał jednak kolejną przeszkodę. Jego wielki i jak powiedziałaaby Madeleine, obrzydliwy nos poczuł kogoś jeszcze.

– Dziewczynka niegroźna. Później zabić. Zjeść. A ty? Coś jest? Dokładka?

Troll odwrócił się, a córka Cesarza odetchnęła z ulgą. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała jego słowa. Był tam ktoś jeszcze. Przeświadczenie

to sprawiło, że w jej żyłach zaczęła buzować krew, a na ciele pojawiła się gęsia skórka. Pierścień Madeleine wibrował, ale nie zwróciła na to uwagi. Zabijmy razem trolla – zwróciła się w myślach do nieznanego. Poczula ogromne podniecenie, które chciało niemalże wyskoczyć z jej piersi. Była okropnie zmęczona, ale nadzieja przywróciła ją do życia. Tymczasem bestia odnalazła swój drugi cel.

– Tu jest. Dokładka.

Madeleine nie widziała, kim był. W ciemnościach dostrzegła jedynie umięśnionego mężczyznę z szarym kosturem w rękę. Vatan? Dziewczyna pomyślała, że z trolla zostanie kisiel, ale tak się nie stało.

Vatanami potocznie nazywało się członków otoczonego złą sławą Zakonu Potępiających Dobro. Legendy zawsze skazywały ich na porażkę, a jeśli już wygrywali, to świat czekały lata w wojnie i cierpieniu. Byli ponoć niezwykle sprytni, nadludzko szybcy i parali się magią. Mieszkańcom Inu Watu zakazano jakichkolwiek kontaktów z tymi istotami. Nikt nie wiedział, czy na pewno pochodzili z naszego świata. Ręce aż świerzbiły Madeleine z ciekawości. Bardzo chciała ich poznać, a dawno nie była tak blisko jednego z nich. Córką Cesarza nie odczuwała strachu przed nieznanym. Nawet jeśli Vatan okazałby się tak zabójczy, jak mówią legendy, to przecież troll chciał zrobić z niej obiad. Zwariowana dziewczyna liczyła na pomoc mężczyzny z kosturem. Nie miała innego wyjścia.

Przed oczami Madeleine rozpoczął się nie lada spektakl. Leże trolla stało się areną pojedynku maga z ohydną bestią. Zaraz miało dojść do starcia. Gdy troll spróbował chwycić Vataka, ten jednym skinieniem dłoni zniknął z jego pola widzenia. Potwór znieruchomiał i podrapał się po łbie. Zrozpaczony i głodny zapytał:

– Gdzie jest? – Jego doniosły głos rozniósł się po jaskini.

Nieznamy pojawił się w pobliżu dziewczyny. Popatrzył w jej brązowe oczy, mrugnął, uśmiechnął się szyderczo, jak to robią Vataci, i znowu zniknął.

Troll dalej błąkał się w ciemnościach i szukał znikającego celu. Był coraz bardziej sfrustrowany, a machanie wielkimi łapami powodowało

pierwsze oznaki zmęczenia. Bestia pocila się niemilosiernie, smród docierający do Madeleine przyprawiał ją o mdłości.

– Chodź no. Tutaj. Do mnie!!! – Troll już nie krzyczał, zaczął się drzeć.

Odczuwała to nawet jaskinia, której suche ściany zaczęły się sypać. Pojedynek przechodził w ostateczną fazę. Vatan postanowił zakończyć teatr jednego aktora. Pojawił się za plecami zagubionego potwora, a z kostura w prawej ręce wysunął długi nóż, po czym wbił go w plecy trolla. Bestia jęknęła i po chwili padła na ziemię. Tak dla pewności czarodziej zebrał w sobie moc i uderzył w trolla, doprowadzając do końca ten nierówny pojedynek.

Madeleine patrzyła na to wszystko z zapartym tchem. Kiedy poczuła, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, zrobiło się jej słabo. Gdy upadała, w ręce złapał ją jej wybawiciel.

– Już dobrze, Madeleine – powiedział. – Mam na imię Zerritan i zabiorę cię do naszego obozu. Do Vatanów.

Dziewczyna rozumiała, co mówił, była jednak zbyt słaba, by się mu sprzeciwić. Nie chciała iść do Zakonu Potępiających Dobro. Słyszała, że podobno każdy, kto tam wszedł, nie wrócił już jako zwykły człowiek. Córka Cesarza wiedziała, że Zerritan uratował jej życie, ale naiwnie wierzyła, że nie miał złych planów. Madeleine nie zauważyła, że mężczyzna znał jej imię. Czy wiedział, kim była? Jeśli nie dostrzegł w jaskini jej cesarskiego ubioru, to na pewno zobaczyłby go w obozie. Ale wtedy byłoby już za późno.

Vatan poruszył dłonią, tworząc niebieski okrąg. Chwycił dziewczynę i zniknęli. Pozostawili za sobą pył, zasypaną i pustą jaskinię, w której Madeleine widziała, jak Vatan zabija trolla. Czy właśnie to się wydarzyło? Las Milczących skrywa więcej tajemnic, niż ludzkość potrafi wymyślić. Przemilczy również i tę historię.

Madeleine

Wstrzymałam oddech



„Nie ten, kto nabiera powietrza, tak naprawdę oddycha”

(MYŚLICIEL FEDIUSZ)

Jakie to wspaniałe uczucie. Zanurzam się w jeziorze i obserwuję, jak moje ciało przecina skupione cząsteczki wody. Płynę w kierunku piaszczystego dna, z którego gdzieniegdzie wystają grube i ostre kamienie. Choć jestem już głęboko, instynktownie obracam się na plecy i szukam rozmazanego przez fale słońca. Woda jest zimna i szorstka. Krystalicznie czysta przestrzeń rozluźnia mnie i pozwala zapomnieć o otaczającym świecie. Nadszedł dzień wyborów. Nie bywałam tutaj często, może kilka razy w ciągu tych okupionych trudem dni. Wraz z moją obecnością ożywała przyroda. Nawet liście, których cień dostrzegam pod powierzchnią, poruszają się we wszystkie strony świata. Wyglądają na zagubione i przeżalone. Czy na pewno tak jest? Szybko pozbywam się tego dziwnego wrażenia. Znika ono wraz z pojawieniem się ciepła w moim sercu. Las Milczących swoim cichym szeptem pobudza do życia miejscowe ptaki. Ich śpiew oznacza jednak, że moja kąpiel trwa już za długo. Wynurzam się i nabieram powietrza. Kątem oka dostrzegam tłumy gapiów czekających na mnie na brzegu. Nic dziwnego. Gdy mam na to ochotę, lubię pływać w jeziorze... całkiem naga.

Nie od razu zbieram się do powrotu. Pragnę jeszcze przez krótką chwilę popatrzeć w niebo i zapomnieć. Tak. Chcę zapomnieć. Wszystko i wszystkich. Nie istnieją dla mnie ludzie, których spotkałam przed wejściem do miasta. Nie mam w sobie litości. Liczy się jedynie teraz, to, jak bezwstydnie unoszę się na powierzchni. Nie brakuje mi tchu, a moje ciało pewnie przecina przezroczystą taflę. Nurkuję. Energicznym pociągnięciem dłoni robię potężny plusk, aż woda podskakuje nad jeziorem niczym ptak unoszący się do lotu. Niestety szybko opada. Tylko i aż tyle. Pierścień pozostał niewzruszony. Miałam nadzieję chociaż na jedno małe drgnięcie. Nic z tego. Od jakiegoś czasu wydaje się, jakby nie posiadał nic ze swojej wyjątkowości. W przeszłości ożywał, kiedy zanurzałam się w tym jeziorze. Zabawne, że od kiedy mój pierścień zamilkł, Las Milczących stał się żywszy i bardziej kolorowy. Pierścień jest jedyną rzeczą, która przypomina mi ojca. Setki decyzji czasami kosztują mniej niż jeden dziecinny błąd. Lecz czy nie jest tak, że dostałam to, co chciałam?

Płynę w kierunku brzegu. Delikatne pociągnięcia rąk sprawiają, że unoszę się na powierzchni jak piórko. Woda subtelnie otacza moje biodra, a mokre włosy leżą przyklejone do ramion. Zbliżam się do tłumu gapiów. Dno wydaje się już blisko, więc próbuję stanąć na nogi. Piasek muska moje pięty. Rozneglizowane ciało błyszczy w świetle słońca. Jestem pożądana przez tłumy. Czuję się jak gwiazda przedstawienia, które właśnie uznają za zakończone. Patrzę na zebraną w oddali grupę Vatanów, ale widzę same rozmazane twarze. Żeby poczuć się silna, w ten sposób ukrywam strach i wstyd. Gdy nie wiem, kto patrzy na moje ciało, mogę myśleć, że to sen. Tak jest łatwiej. Lepiej.

Kiedy wychodzę z jeziora, ruszam się z gracją, podążając w kierunku ciemnego tłumu. Wszyscy mężczyźni ubrani w szare lachmany z daleka wyglądali jak wielka plama. Teraz jestem już blisko. Zebrani zaczynają bić brawo. Żeby nie wyglądać na speszoną, tłumię wszystkie dochodzące do mnie dźwięki. Ciągłe idę w ich stronę, ale nie jest to wymarzona droga. Niewyraźne twarze i szare sylwetki przyciągają mnie bezpowrotnie. Chcę

iść w przeciwnym kierunku, ale nie mogę. Gdy jestem w zasięgu ich dłoni, a przytłaczający chłód sprawia, że na skórze pojawia się gęsia skórka, z tłumu wychodzi znajoma mi postać. Nie widzę jego twarzy. Nie słyszę głosu. Wszystko wokół mnie wiruje albo kręci mi się w głowie. Przyjaciel podaje mi kawałek materiału, którym owijam wychłodzone ciało.

– No już, wynocha! – odzywa się ostro, niezgrabnie jak zimny i nielubiany władca. – Koniec spektaklu! – Jego chłodny i ściszony głos rozchodzi się niemalże szeptem.

Zerritan popatrzył na rozstępujący się tłum złowrogim spojrzeniem, jakim rzadko raczy młodszych adeptów. Czuję, że kroi mi się nieprzyjemna pogawędka, jednak mag zaskakuje mnie niezwykłym spokojem.

– Madeleine – mówi szybko, nie wymawiając delikatnego „l”, na które pada charakterystyczny akcent mojego imienia. – Madeleine. – Tym razem każda literka staje się częścią zabawy, wymawia wszystkie tak wolno, jakby chciał przekazać mi kilka uczuć jednocześnie. Frustrację. Podniecenie. Złość. Żal. Chciwość.

Rozumiem, o czym myśli, a on dobrze o tym wie.

– Nie możesz powiedzieć, że ci się podobało? – pytam go, chociaż wiem, że nie udzieli mi odpowiedzi. Spoufalanie się z wierną na godziny przed próbą jest surowym przestępstwem. W ogóle jakiegokolwiek uczucia poza nienawiścią są u Vatanów zakazane. Jak mogłabym jednak nienawidzić faceta, który uratował mi życie?

– Jesteś gotowa?

Tak jak myślałam, Zerritan przemilczał moje pytanie. Jego wyraz twarzy zdradził jednak, że całkowicie zgadza się z tym, co powiedziałam. Czy jestem gotowa? A czy można być gotowym na poznanie własnego przeznaczenia, gdzie porażka kończy się śmiercią? Zamiast tego odpowiadam w inny sposób:

– A czy masz prawo mnie o to pytać?

Widzę, jak jego suche wargi prostują się, tworząc na twarzy niewyraźny uśmiech. Nie wie, jakiej odpowiedzi udzielić. Szkoda, wielka szkoda.

Idziemy środkiem obozu. Mimo przyjacielskiej więzi, jaka nas łączy, to Zerritan, Vatan w stopniu maga, podąża jako pierwszy. W szarej kamizelce i spodniach zupełnie nie przypomina czarodzieja. Ja lekko zgarbiona chowam się pokornie za jego plecami. Tego wymagają od nas przepisy. Jestem jedynie szarą myszką, zagubioną dziewczyną, która nie należy do zakonu. Tylko ci, którzy sprostają wymaganiom Vatanaela – mitycznego założyciela, Pana Wyznawców – i dojdą do końca Ścieżki Vatanów, mogą wejść do miasta i rozmawiać na równi ze wszystkimi zakonnikami na poziomie drugim, czyli w Hexagonie. Miasto nazywa się tak, dlatego że zostało zaprojektowane na wzór heksagonalnych kryształów berylu, których źródło znajduje się na szczycie góry. Poziom pierwszy nazywany Początkiem albo PrzedSIONkiem to obszar zamieszkały przez wygnańców oraz ludzi pozostawionych na pastwę losu, których zakonnicy znaleźli w Lesie Milczących. Szlachetność Wielkiego Mistrza nie pozwalała nas zabić, a zasady zmuszały do trzymania na zawsze na zewnątrz siedziby Vatanów. W ten sposób powstał nowy, pierwszy poziom wtajemniczenia. Ludzie za słabi, żeby uciec, i za głupi, żeby przejść bramy miasta.

Co roku Wielki Mistrz urządza za wolą Vatanaela swoje zawody, dzięki czemu jedna z trzech osób, które udowodnią swoją wartość, otrzyma wyjątkowe, osobiste zadanie. Wiem tylko tyle, ile udało mi się wyciągnąć od Zerritana. To moja szansa na wejście do Hexagonu. Przyszłość może wyglądać całkiem dobrze. Chociaż nigdy o tym nie marzyłam, Vatani nie dali mi wyboru. Zostanę jedną z nich. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby tak się stało. Inaczej utknę tutaj na zawsze.

Przechodzimy pomiędzy prowizorycznymi i nieszczelnymi szalasami, w których gdzieniegdzie znajdują się jeszcze mokre koce po wieczornej ulewie. Wokół nas, jak zwykle w PrzedSIONku, kiedy do miasta podąża mag, gromadzą się ludzie. Nie wiem, po co Zerritan prowadzi mnie pod bramy. Być może szuka ustronnego miejsca do rozmowy. Zewsząd padają na nas ciekawskie spojrzenia. Szemrane typy stoją w pierwszych rzędach, a kobiety i dzieci pilnują resztek swojego dobytku. Z oczu tych ludzi

wyczytuję nie tyle rozpacz, co złość, nie tyle smutek, co chęć zemsty. Myślą sobie pewnie, że jestem uprzywilejowana. Ja także mam taką nadzieję. Czuję strach na samą myśl o tym, że już dzisiaj będę musiała zmierzyć się z innymi o wejście do Hexagonu. Smuci mnie jedynie los kobiet i dzieci. Nawet jeśli mężczyzna dostanie się do Zakonu, to nie może ze sobą zabrać rodziny. Z tego powodu nie każdy chce wejść do środka. Niektórzy egzystują na krawędzi przetrwania. I czekają. Czekają na śmierć.

Stoimy już w pobliżu wielkich drewnianych bram, które dzisiaj ze względu na dzień próby są otwarte. Nikt z nas nawet nie usiłuje się dostać do środka. Wiemy, jak to się skończy. Ten gest to tylko pozorne złudzenie. Straże zajmą się każdym próbującym się nielegalnie dostać do Hexagonu.

Zerritan zatrzymuje się i odwraca w moim kierunku. Oczy już mu się nie błyszczą, a twarz przyjęła surową postawę. Stoimy obok siebie w ciszy. Szum liści góruje nad nami niczym cichy odgłos werbli. Po chwili zawahania mag nareszcie zabiera głos:

– Przygotuj się dobrze. Zostało sześć godzin. Do zobaczenia w mieście – powiedział, jakby był stuprocentowo pewien, że się tam spotkamy.

Nie podzielałam jego nastroju.

– Żegnaj, Zerritanie – odpowiedziałam i odwróciłam się od bram.

Chcąc ominąć tłum biedaków, znikam bezszelestnie w wysokich krzewach. Staram się tłumić emocje, ale mimowolnie z moich oczu płyną łzy. Biegnę w kierunku kryjówki, jaką znalazłam sobie tydzień po spotkaniu z trollem. Marzę, aby wreszcie zamieszkać w ciepłej i suchej komnacie, ale najpierw muszę przejść próbę i dostać się do miasta.

Niewielka i z daleka niepozornie wyglądająca jaskinia pośród drzew to miejsce, które przez ostatnie miesiące stało się moim domem. Przedzieram się przez ostre gałęzie i unikam pajęczyn. Spotkanie z tutejszym pająkiem – nazywanym przez mieszkańców osą leśną – kończy się martwicą ukąszonej części ciała, a w niektórych przypadkach nawet śmiercią. Wreszcie udało mi się przedostać. Wchodzę do środka, a wejście osłaniam stertą liści i gałęzi. Niby nikt się tędy nie pałęta, chociaż pewnego razu było bardzo blisko.

Wydarzyło się to nocą. Księżyc w pełni oświetlał las, nie mogłam zasnąć. Leżałam akurat na kocu, a z mojej szyi spływały kropelki potu. Gdy patrzyłam w ciemnoszare niebo, na którym gdzieniegdzie widać było błękitne odbarwienia, zauważyłam coś jeszcze. Kilkuosobowa grupka mężczyzn biegła przed siebie, uciekali przed jakimś nieznanym mi stworzeniem. Miało ono zakrzywiony dziób o ostrym zakończeniu, mały czarny łeb i olbrzymie białe skrzydła. Z daleka wyglądało jak sęp, tylko było znacznie większe. Kilku uciekinierów nierozsądnie ukryło się w krzewach, mając nadzieję, że potwór ich nie zauważy. Niestety jeden mężczyzna, zupełnie wystraszony, gnał, ile sił w nogach, w moim kierunku. Był coraz bliżej. Na jego nieszczęście Wielki Sęp wznosił się ponad ziemię. Podleciał i chwycił go, gdy ten był kilka metrów od mojej kryjówki. Pamiętam, że ze strachu trzęsły mi się zęby. Przez całą noc jedynie rozmyślałam, co by było, gdyby potwór wleciał do środka. A jeśli biedacy dowiedzieliby się o mojej kryjówce? W dzień byłam bezpieczna. W nocy...

Dziwaczny potwór, którego nazwałam Wielkim Sępem, już nigdy nie wrócił nad Las Milczących. Przynajmniej ja go nie widziałam. Rozmawiałam na ten temat z Zerritanem, lecz odpowiedział jedynie to, co slysze od niego za każdym razem, kiedy pytam o Las Milczących: *To miejsce skrywa więcej tajemnic, niż ludzkość może sobie wyobrazić. Lepiej nie mówić o tym, co pragnie przemilczeć.* Zerritan spersonifikował to miejsce. Czy to znaczy, że... ono żyje?

Niedługo zajdzie słońce. Została mi godzina. O zachodzie słońca muszę się stawić przed główną bramą i oddać swoje przeznaczenie w ręce Pana Wyznawców. Szczerze mówiąc, nie dbam o własny los. Musi on być naprawdę do niczego, skoro doprowadził mnie do takiego stanu. Czy przeżyję? Wolę umrzeć, niż ponownie wrócić do tej jaskini. Tak naprawdę moment, w którym opuszczę to miejsce, stanie się dla mnie wybawieniem. Wolność albo śmierć. Oba brzmią rozkoszniej niż życie w leśnym piekle.

Ja naprawdę marzę, by zobaczyć Hexagon, miasto otaczające najwyższą górę Cesarstwa. Chcę wejść na sam szczyt i poznać tajemnice Zakonu. Jaki

naprawdę jest Zerritan? Czy gdybym należała do Zakonu, zostałby moim przyjacielem? Spoglądam na prawą rękę, a dokładniej na palec serdeczny, na którym ciągle znajduje się pierścień. Tylko ty jesteś moim prawdziwym przyjacielem. Nie opuszczasz mnie nawet na krok. Roześmiałam się. Uśmiech na twarzy to coś niezwykłego, zwłaszcza kiedy idzie się na pewną śmierć. Jednak nawet mój pierścień ma swoje tajemnice. Dlaczego wibruje? Muszę się tego dowiedzieć. Gdybym dotarła do Hexarium – trzeciej części miasta znajdującej się u podnóża góry – odnalazłabym mentora albo kogoś specjalistę w dziedzinie magii, który wyjaśniłby mi jego działanie.

Co włożyć? Wybieranie stroju na ten wyjątkowy dzień byłoby ekscytujące, gdyby nie fakt, że mam tylko jedno wyjściowe ubranie. Wkładam odzienie, które ostatni raz miałam na sobie w jaskini trolla. Zachowałam je dokładnie na tę okazję. Narzucam czerwoną kurtkę i nakładam kaptur. Czuję jak moje ciało wypełnia znajoma energia. Wspomnienia otaczają mnie, a pierścień w końcu wibruje. Czy to naprawdę jego jedyna funkcja? Mimo to jestem pewniejsza siebie.

Idę.

Mój kosmyk ciemnoblonde włosów unosi się i opada na ramiona. Wokół szaleje natura. Widocznie zapomniała o panującej dotąd ciszy i krzyczy na swój sposób, wymachując przerośniętymi gałęziami. Nie potrafię się uspokoić. Moje ciało drży niczym ranne zwierzę i psuje równowagę.

Mimo to idę przed siebie. Na śmierć.

Pozwoliłam sobie powiedzieć prawdę. Największe przerażenie, jakie siedzi w ciele człowieka i męczy go niemiłosiernie, to strach przed śmiercią. Boję się. Ogromnie się boję, bo nie wiem, co się wydarzy. Czy jestem w stanie przetrwać?

Nad Lasem Milczących wisi czarna chmura, z której powoli zaczyna padać deszcz. Wiatr ustaje i następuje chwila głuchej ciszy. Bramy miasta ciągle stoją otworem. Podchodzę wolnym krokiem do zebranych mężczyzn. Jest ich dziewięciu. Reszta, jakby intuicyjnie przeczuwając zagrożenie, ukrywa się w swoich szałasach. Mierni biedacy. Chwilę po tym, jak

przychodzę, wymierzam złowrogie spojrzenie w rywali, chcąc zamaskować przerażenie. Odziani w ciemne – lub brudne – i dziurawe koszule stoją, w rękach trzymając tępe narzędzia. Wolałabym nie toczyć z nimi walki. Ciszę wokół nas przerywa nagły i wyraźny grzmot, po którym nadchodzi Sędzia. Natura działa w zgodzie z zakonnikami, a to ciekawe – pomyślałam. Chwilę później nie widzę w tym nic dziwnego.

Zerritan zaskakuje mnie swoim wyglądem. Widać, że jest inny. Nie jest teraz sobą. Serce na jego widok niemal wyskakuje mi z piersi, ale biorę się w garść. Uspokajam. Sędzia ma na sobie długi, czarny płaszcz. Mrocznego charakteru dodają mu szpiczasty kaptur i dłonie wysmarowane smołą albo czymś podobnym. Widzę jedynie jego oczy, dzisiaj zielone i obce. Nie mam w nim już przyjaciela. Przez chwilę poczułam ogromne przerażenie, jednak uświadamiam sobie, że słabość nie wchodzi w grę.

Dziś jest mój dzień.

Łapię się na tym, że zżera mnie ciekawość. Jaką misję zaczniemy jutro, gdy świt rozjaśni las, a mgła roztopi się na wieść o nadchodzącym świetle słońca? Drapię się po dłoni, chcąc rozluźnić mięśnie. Nareszcie głos zabiera Sędzia. Opowiada historię, której słucham z pełną uwagą:

– Po latach życia w miłości i zgodzie dowiedzieli się w zamku, że muszą umrzeć. Było ich niewielu, uciekło tylko pięciu. Podążyli oni drogą przez las, szukając schronienia. Lecz las żył, korzystał z ich bólu, bawił się niechęcią, czekał na strach. Doczekał się więc chwili walki. Brak pojednania doprowadził do końca ich drogi. Tylko najmądrzejsi, wybrańcy światła, mogą podążyć drogą zemsty. Wkrótce położyli się spać. Las w zgodzie ze słońcem oczyścił świat z tych sił, które były zhańbione. W ten oto sposób zginęło dwóch uciekinierów. Było ich pięciu, do miasta dotarło trzech. Jutro rano las w zgodzie ze słońcem wybierze trzech, którzy podążą Ścieżką Vatanów. Pilnujcie wejścia i nie pozwólcie zhańbić waszej duszy.

Czuję się oszukana. Przez cały czas byłam pewna, że dopiero jutro zacznie się decydujące starcie. Jak przeżyć bez broni pod bramą miasta? Panika sięga zenitu, a z oczu płyną łzy.

– Niech ta historia i ten cytat trafią do waszych serc. Zamykamy bramy – powiedział twardym głosem Sędzia, a gdy odszedł, zostawił za sobą wszystko to, o czym mówił: brak pojednania, strach, niechęć, zemstę. I hańbę.

Nie dam. Sobie. Rady



„Było ich pięciu, do miasta dotarło trzech”

(LEGENDA O ŚCIEŻCE VATANÓW)

Nie ma czasu. Gdy Zerritan nakazał zamknąć bramy, wściekły tłum ruszył do przodu, chcąc za wszelką cenę dostać się do środka. Nie. To się im nie uda. Szybko oceniam swoją sytuację. Moi rywale próbują obalić starą i sękatą bramę za pomocą zardzewiałych toporów i kamieni, które akurat mają pod ręką. Pierwszy z toporów ma już zamiar wbić się pomiędzy grube bale, jednak zamiast tego odbija się i wypada z rąk atakującego mężczyzny. Nie przebiją się. Po dłuższej chwili niepowodzeń zapewne skoczą sobie do gardeł. Muszę być jak najdalej stąd, żeby nie znaleźć się w centrum konfliktu.

Ruszam przed siebie. Księżyc wisi mi nad głową, zdaje się, że patrzy na nasze zmagania. Czy jest z nich zadowolony? Byłby egoistą, gdyby uwielbiał patrzeć, jak zbliża się do nas śmierć. Powoli i nieuchronnie. Krok po kroku.

Robię szybkie, dynamiczne ruchy, a moje nogi co chwilę toną po łydki w kałużach. Wyraźny i ostry krzyk bólu kogoś za moimi plecami sprawia, że się odwracam. Kątem oka dostrzegam leżącego na ziemi mężczyznę. Jest już cicho. Nie rusza się. Grupa walczących uspokoiła się na chwilę. Widocznie zdali sobie sprawę z tego, co właśnie się wydarzyło. Podmucha

wiatru gwałtownym ruchem przeciął ciszę. Z piersi martwego osiłka wystaje ostrze noża. Nie ma się już nad czym zastanawiać. Łapię się na tym, że nie patrzę pod nogi. Próbuję zachować równowagę, ale jest za późno. Upadam.

Staram się uszeregować myśli kłębiące się w mojej głowie niczym gęsty dym. Nie potrafię. Nie dam. Sobie. Rady – mówię w myślach, kiedy przypomina mi się scena z jaskini trolla. Muszę uciekać. Za wszelką cenę.

Opieram swoje ciało na rękach, próbując wstać. Gdy jestem już bliska sukcesu, moja noga odmawia współpracy. Odwracam się. Zwracam uwagę na to, że grupa rywali jest blisko. Chcą mnie dopaść. Spoglądam na swoją kostkę. Jest spuchnięta, a do tego boli. Nie mogę chodzić. Słyszę narastającą falę zbliżających się kroków. Usiłuję się uspokoić, ale w tej chwili to adrenalina rządzi moim światem. Uciec. Muszę uciec. Znajduję w sobie resztki sił. Oby ta sztuka nie trwała wiecznie, uśmiecham się gorzko i z wielkim bólem odpycham od ziemi. Ruszam do przodu, ale rywale są w zasięgu wzroku. Co robić?

Myślę, że śmierć to szansa na oczyszczenie duszy. Trudno się do tego przyznać, ale zasługuję na nią. Lecz czy jestem gotowa? Zanim znajduję się w sytuacji bez wyjścia, drogę pomiędzy mną a mężczyznami rozdziela burza piaskowa. Skąd tutaj piasek? Najwidoczniej Las Milczących stoi po mojej stronie.

Nie umrzesz, Madeleine. Jeszcze nie teraz – w myślach słyszę niski, nieludzki głos. Czuję, że go znam.

Może ze strachu, a może z czyjąś pomocą wydaje mi się, że jestem w stanie swobodnie poruszać nogą. Nadal boli, ale sprawniej idę do przodu. Nie czekam. Ruszam w stronę krzewów. Myślę, że burza już niedługo się skończy. Uspokajam się, to przecież jedynie przecucie.

Trafne.

Burza znika jeszcze szybciej, niż się pojawiła. Zabiera ze sobą piasek, który niczym czarodziejski pył unosi się chwilę ponad drzewami. W międzyczasie mijam krzewy i docieram do oddalonych od drogi drzew.

Jeszcze kilka dni temu wdrapywałam się na nie, chcąc podziwiać widoki. Dziś muszę znaleźć jedynie gałąź. Byle grubą. Trzeba się schować.

Wdrapywanie się idzie mi z wielką trudnością. Mimo narastającego bólu, jakimś cudem udaje mi się ukryć. Siadam na jednej z większych gałęzi, opierając plecy o szorstką korę. Przyglądam się swojej nodze. Nadal jest opuchnięta, przez swoją nieuwagę muszę teraz zмагаć się z większymi trudnościami.

Las wokół staje się niewyraźny, liście drzew wyglądają na malowane farbą olejną. Używali jej malarze na dworze ojca. Wokół siebie słyszę szum. Widocznie zaczął wzmagać się wiatr. Jest ciemno, w końcu to środek nocy. Co chwilę ponad niego przebija się uroczy koncert tutejszych owadów. Nie wiem dokładnie jakich. Ich melodia, prosta i jednostajna jak zegar, wyznacza mi czas.

Zasypiam.

Nie wiem na jak długo. Gdy się przebudzam, nadal jest ciemno. Wydaje mi się, jakbym jedynie zamknęła oczy, ale tak naprawdę padłam ze zmęczenia. Czemu się przebudziłam? Zaraz, czy słyszę jakieś szepty? Wystraszona przylegam bliżej do drzewa i przestaję oddychać. Z oddali dochodzi do mnie rozmowa.

– Cholera, co mi odbiło, żeby słuchać tego wariata?! Zabijemy ją. Pokonamy ich. I co? Łazimy po lesie, szukając ducha. Mówiłem mu, ta wiedźma zna się na czarach. Przywołała piaskową burzę... S-strach pomyśleć, co j-jeszcze potrafi...

– Anbew? Gdzieś poszedł? Kazałem ci sprawdzić na wschodzie? Ty naprawdę nie odróżniasz, gdzie prawo, a gdzie lewo? Debil z ciebie!

– I jeszcze mnie znowu obraża. Damon nie byłby takim przywódcą, ale Morat kazał go zabić. Mówił mi zabić, to zabiłem.

Niesłychane. To nie dialog. Oni idą obok siebie, a ja słyszę ich myśli. Wiem, o czym oni myślą! Przysłuchuję się dalej.

– Rupert! No proszę, powiedz mi, co, do cholery, wyprawiasz?! – wykrzykuje Morat.

To jego imię usłyszałam w myślach Anbewa. I to on chce mnie zabić.

– E-e-e... – jąka się Rupert.

– On potrafi mówić? – Morat, wskazując na niego ręką, zadaje pytanie i wpada w szyderczy śmiech.

– A żebyś zdechł, podstępny półgłówku – bąknął Rupert.

– Potrafi. Tylko się z ciebie nabija – odpowiedział czwarty głos, inny niż dotychczas.

– Czy ktoś z was potrafi ją znaleźć? Jest ranna. Nie mogła pójść daleko – stwierdza Morat. Niestety ma zupełną rację.

– To wiedźma przecież. Może znowu c-coś w-wyczarowała – odpowiedział mu wystraszony Anbew.

– Żalotne. Taki wielki chłop, a boi się bezbronnej baby! – Morat śmieje się jeszcze głośniejsze, a Anbew milknie.

Coś zaraz się wydarzy. Mam takie przeczucie. Czterech facetów drze się na cały pysk w kompletnej ciemności. W miejscu magii. Siedzę i czekam. To powinno wystarczyć. Noga uporczywie daje mi się we znaki, ale jakoś to przetrwam. Nie zejdem z drzewa, dopóki oni są w pobliżu. Po co miałabym to robić?

Wiatr znowu się zerwał. Zamykam oczy i wsłuchuję się w jego głos. Nie dociera do mnie nic poza nim. Mężczyźni umilkli, zupełnie jak skłócone dziewczęta, i najwyraźniej poszli spać. Nie rozpalili ogniska. Kolejny błąd. Chcą spać w lesie bez ognia, myśląc, że w ten sposób nie zostaną zauważeni? Zwierzyna może być bliżej, niż sądzą. Najbliższym zagrożeniem jestem ja.

Kiedy znowu próbuję zasnąć, wprost na moje czoło leci gęsta i lepka żywica. Początkowo ze strachu przed nieznaną substancją omal nie spadam drzewa. Robię przy tym tyle hałasu, że z łatwością budzę wszystkich rywali. Zaczynają kręcić się na boki i szukać winnego całego zamieszania.

– To tylko w-wiatr? – pyta zaspany, ale wystraszony Anbew.

– Nie. Albo kręci się wokół nas jakaś zwierzyna, albo to ta wiedźma – stęka Morat, po czym dodaje: – Musimy to sprawdzić. – Zupełnie jakby

od niechcenia chwycił w ręce swój topór i kopnął zaspanego Ruperta. – Wstawaj, durniu, wiedźma jest w pobliżu. Ty tam. Ty też rusz swój tyłek.

Znowu się zaczyna. Biedna dziewczyna, oby dobrze się ukryła na tym drzewie. Morat i jego eskapada nie powinni jej tam znaleźć. Dobrze jej życzyć. Może faktycznie ma talent do bycia Vatanem? To nie my powinniśmy decydować pomiędzy sobą, kto wejdzie do środka. Chciałbym jej pomóc. Tylko jak? Myśli czwartego mężczyzny docierają do mojej głowy, tworząc spójną treść. On przeraża mnie i jednocześnie fascynuje. Skąd wie, że jestem na drzewie? Ale czy na pewno o tym wie? Może nie wie na którym? Jednocześnie cieszę się, że jako jedyny wydaje się w porządku. Jak jemu na imię? Biorąc pod uwagę, że nawet Morat zwraca się do niego per „ty”, oni także nie mają bladego pojęcia. A to ciekawe.

W końcu przywołane przez woń ludzkiej krwi wilki leśne ukradkiem nadchodzą z czterech stron, ukazując mi swoje ślepia. Przerazająco błękitne – myślę, wpatrując się w to, do czego za chwilę dojdzie. Krok po kroku, łapa po łapie łowcy wyłaniają się zza krzewów, pokazując swoją ciemną sierść. Słyszałam kiedyś o leśnych wilkach, lecz nigdy przedtem ich nie widziałam. Są piękne i niebezpieczne.

Morat i Rupert jako pierwsi wyczuwają zagrożenie. Cicho, niemalże bezgłośnie dają znak pozostałym. Anbew oraz nieznamy wiedzą, co się wydarzy. Próbują uspokoić sytuację i obmyślić taktykę. Czy istnieje skuteczna metoda na cztery wygłodniałe wilki? Pozostała im walka. Żeby dobrze się do niej przygotować, Morat sygnalizuje dłonią ciasny szyk, w którym mają zamiar stawić im czoła. Mieliby duże szanse na powodzenie, ale nagle dzieje się coś niespodziewanego.

Rupert ucieka.

Widocznie ma po czubek nosa dzisiejszej walki o przetrwanie. Zginął przecież niejeden człowiek, a on nie chce być następnym. Nie słyszę jego myśli, ale czuję strach, który przeważa nad logicznym myśleniem. To dlatego ucieka jak najdalej. Jak najwyżej. Nie wierzy w sukces. Jest słaby. Jego zachowanie od razu pobudza zaciekawionych łowców, którzy szczerzą na

niego kły. W mgnieniu oka ruszają w stronę uciekiniera i wprowadzają popłoch wśród mężczyzn.

Tak wygląda chaos.

Morat po raz pierwszy, od kiedy go znam, postradał zmysły. Cofa się, wymachując bronią, aż natrafia na wystający konar i przewraca się na plecy. Wilki nie są nim zainteresowane. Aż trzy z nich gonią Ruperta, który jednak w przypiływie adrenaliny zdołał schować się na drzewie. Co zaskakujące pomiędzy gałęziami dostrzegam, że łowca, który nie rzucił się w pogoń, walczy z Anbewem. Mężczyzna zaciekle stawia opór. Czy da radę?

To jest właśnie okazja, na którą czekał nieznajomy. Jak gdyby nigdy nic odchodzi z centrum wydarzeń i zbliża się do drzewa, na którym siedzę. Jego twarz jest pełna pogardy. Boję się. Nie wiem, co chce zrobić. Gdy jest już blisko, mruga do mnie w sposób, jaki robią to Vatani. Nadaje się. Muszę mu pokazać, że nie jestem gorsza.

Nie wiem jak, ale jestem pewna, że dam radę przekazać swoje myśli do jego umysłu. To wydaje się takie dziecinnie proste. Wystarczy chcieć. Układam w głowie krótki komunikat i jestem pewna, że on go zrozumie. Niesamowite. *Ty. Ja. Rupert. Przekonaj go. Zasadzką się nie martw.*

Nieznajomy otwiera szeroko oczy i jeszcze raz się uśmiecha. Tym razem nie wydaje się niebezpieczny. On jest szalony tak samo jak ja. Kłania się w moją stronę i odchodzi od drzewa. Znika pomiędzy wysokimi krzewami. Nie na długo. Chwilę później widzę go już w pobliżu wilków. Nadal skupiają uwagę na innych celach. Lepszych, w ich mniemaniu. Być może nie wyczuwają jego strachu. Czy on w ogóle się boi?

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Dynamika tych wydarzeń przeraża, lecz mocno mnie ekscytuje. Anbew tonie we własnej krwi. Biedak wypuścił z ręki swoją broń i leży z otwartymi ustami. Nie zdążył wydać ostatniego krzyku rozpacz. Łowca wskoczył na niego i rozszarpał mu krtań. Krew tryska niczym z fontanny i zabarwia korę pobliskich drzew. Wilk leśny nie zauważył, że jego ofiara już się nie rusza, i dalej szarpie ją, rozrywając ciało na mniejsze fragmenty.

Zostało nas czworo.

Dopiero teraz widzę, że spanikowany Morat, usiłując uciec przed łowcami, skrył się centralnie pod gałęzią, na której siedzę. Proszę, proszę. Jestem gotowa. Nie czekam. Wstaję i trzymając się kory, wybijam się do góry. Unoszę się w powietrzu, czuję wiatr naciskający na moje policzki. W mgnieniu oka spadam na plecy zaskoczonego rywala. Jeszcze w locie udaje mi się uderzyć go w głowę, przez co ląduje twarzą w ziemi.

Odczuwam ból mięśni. Upadek odebrał mi znaczną część sił. Mimo to opieram się na kolanach i udaje mi się stanąć na równe nogi. Dopóki ogłuszony Morat leży na runie leśnym, podnoszę w obie ręce jego broń i z całej siły wyrzucam ją jak najdalej. Nie zwracam uwagi na otoczenie. Tylko ja i on. Chcę tego pojedynku.

Nie mija nawet moment, gdy stoimy naprzeciwko siebie. Ja, w jego oczach młoda i niebezpieczna wiedźma, którą za wszelką cenę musi zabić, przede mną on. Patrzę w jego kierunku i widzę pysznego, rozkochanego w sobie idiotę. Brak mu klasy, z jakiej słyną Vatani. Przyznaję, wygląda na silnego. Nie mam pojęcia o technikach walki. Marzę przywalić mu z całej siły, byle tylko pozbyć się przeciwnika, który ma zamiar mnie skrzywdzić.

Nie zastanawiając się dłużej, napieram w jego kierunku całym ciałem. Na nic to się jednak zdaje. Morat robi unik, a ja wpadam w kłujące rośliny. Bolesna, głupia próba. Nie tracę czasu. Podnoszę się szybciej niż za ostatnim razem. Na tyle szybko, że Morat nie zdążył do mnie podejść.

Zaczynam wątpić w sukces. Nie mija chwila, gdy mój przeciwnik zaciska pięści. Jednym, ale jakże celnym zamachem trafia mnie w brzuch. Padam na kolana. Pluję krwią. Tracę kontakt z otoczeniem, jednak nie mdleję. Marzę, aby podnieść się i skopać mu tyłek. Dopiero teraz zauważam, że Morat zaszedł mnie od tyłu. Łapie moją szyję i gwałtownie zaciska uchwyt. Nie oddycham. Duszę się. Moje ręce bezwładnie zwisają na wietrze. To koniec.

Nie. Nie. Nie.

Pierścień na palcu zaczyna wibrować. Nie mam nad nim kontroli. Drży coraz mocniej, a moje ciało wpada w konwulsje. Przez ramiona przechodzi

fala ciepłej energii. Żywa i pozbawiona kontroli, dla mnie jest zupełnie nieszkodliwa. Wypełza z pierścienia i paraliżuje mojego wroga. Uścisk się zwalnia. Świat nabiera barw. Teraz już wiem. Nie rozumiem, ale jestem tego pewna. Pierścień nie pozwolił mnie zabić.

Morat się przewraca, a ja próbuję nabrać powietrza. Ściskam dłonie, w których już odzyskuję czucie. Moc się uspokaja.

– Nie podziękujesz? – Słyszę za sobą głos nieznanego. Odwracam się do niego przerażona.

– Co tu się wydarzyło? – Moje serce dudni, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Morat chciał cię udusić. W ostatniej chwili udało mi się pokrzyżować mu szyki – tłumaczy. – Naprawdę nic nie pamiętasz?

– Nic. Zupełnie nic – dodaję. Kłamię prosto w oczy, ale on nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Zostań tutaj. Nic ci już nie grozi. Muszę jakoś odnaleźć Ruperta i pozbyć się trzech warujących na niego wilków. Nie dają mu zejść z drzewa – mówi i oddala się w kierunku dwóch dużych krzewów. Próbuję go zatrzymać.

– Naprawdę? Zostało nas trzech. Przepowiednia już się wypełniła. Dlaczego wciąż nie ma Sędziego? – Krztuszę się zimnym powietrzem. Mam dziwną chrypkę.

– Widocznie nie znamy całej historii. Mam przeczucie, że dowiemy się o niej już niebawem. – Nieznajomy spojrzał na mnie, po czym odwrócił się w stronę dobiegającego warczenia.

– Poczekaj! Idę z tobą. Dam radę. – Uśmiecham się przez ból, jasne kosmyki włosów opadają mi na twarz. Są pełne ziemi i piasku.

– Wyglądasz na poobijaną. Zostań! – krzyczy w moją stronę.

– I co? Myślisz, że taki szczupły, niewyróżniający się chłopak jak ty sam powstrzyma wilki? Jak chcesz to zrobić? Przecież się ciebie nie przestraszą! – mówię dokładnie to, co myślę. Nawet jeśli umie dobrze strzelać, nie trafi trzech wilków naraz. Zawsze któryś podejdzie za blisko.

– Coś się wymyśli, on potrzebuje pomocy. – Jego brązowe oczy nawet z takiej odległości niesamowicie się błyszczą. Czuję, że jest pewien tego, co robi.

– Ej! Jestem Madeleine. A ciebie jak nazywają? – krzyczę, uświadamiając sobie, że dalej określam go jako nieznanego.

– Feniks. Mam na imię Feniks – powtórzył, jakby chciał, abym dobrze zapamiętała.

Feniks. Jego imię przypomina mi wiosenną burzę, podczas której wraz z ojcem przechadzaliśmy się po dworze. Opowiadał mi wtedy o feniksach. Będąc małą dziewczynką, pasjonowałam się legendami. Ponoć w każdej jest ziarenko prawdy. Słuchałam opowieści o syrenach, z zapartym tchem czekałam na historię o washdanach, monstrach nawiedzających pobliskie wioski. Podobno feniksy żyły gdzieś daleko na wschodzie. Istnieje powiedzenie: powstać jak feniks z popiołu. Chyba dzięki temu chłopakowi stoję jeszcze na nogach. Czy rzeczywiście to on zabił Morata, czy moja moc pomogła mu choć odrobinę?

Nie. Nie moja moc. Moc pierścienia. Potężnego artefaktu. Mrocznego Artefaktu.

Czy to ciepło, które przeszło przez moje ciało i ocaliło mnie przed śmiercią to jedynie adrenalina?

Nie mogę w to uwierzyć. I nie uwierzę.

Ruszam za Feniksem. Powiedziałam mu, że czuję się dobrze. Skłamałam po raz kolejny. Moja głowa ma zamiar wybuchnąć, a nogi biegną we wszystkie strony. Zachowuję się jak odurzona. Pijana. Jakimś cudem brnę do przodu. Las dodaje mi sił oraz pewności siebie. To dla mnie coś nowego.

Słońce powoli zaczyna pojawiać się na widnokręgu. Zostało niewiele czasu. *Las w zgodzie ze słońcem oczyścił świat z tych sił, które były zhańbione.* Cokolwiek dokładnie to znaczy, musimy się pospieszyć i uratować Ruperta. W głębi serca czuję, że Zerritan... Sędzia przybędzie już za chwilę.

Natura budzi się do życia. Zimno, jakie otaczało do tej pory liście, zniknęło, zabierając ze sobą delikatną mgłę. Idę kilka kroków za Feniksem.

Ziemia pod moimi stopami jest bardzo wilgotna, ale nie na tyle, by przykleić się do podeszwy butów. Warczenie leśnych wilków oznacza, że jesteśmy już blisko. Feniks zatrzymał się za olbrzymim konarem i usiadł na stosie z liści. Muszą być strasznie zimne i mokre, ale nie zwraca na to uwagi. Przygląda mi się i o czymś myśli. Nie potrafię rozczytać, co takiego przyszło mu do głowy. Fascynuje mnie i wnerwia.

– *Spróbuję trafić strzałą jednego z nich. Dwa pozostałe najpewniej cofną się. Zyskamy więcej czasu.* – Myśli Feniksa w końcu pojawiają się w mojej głowie.

Zachowujemy się bardzo cicho. Dzięki rozmowie w myślach wilki nadal nie powinny wiedzieć, gdzie się znajdujemy. To, co robimy, przypomina polowanie.

– *Pozwól mi działać. Jestem w stanie zatrzymać wilki* – proszę go.

– *Nie podniecaj się. Nie tylko ty masz dar. Czym je zabijesz? Powiesz im, żeby sobie poszły?*

– *A ty? Co potrafisz?* – pytam oburzona. Czemu taki fajny chłopak zachowuje się jak zwykły prostak?

– *Zobaczysz. Pewnego dnia* – odpowiedział, ale wyraźnie się zawstydził.

– *Pozwól mi działać. Nie strzelaj. Coś ci pokażę.*

Posiadam w sobie pewien ułamek szaleństwa, który każdego dnia w Lesie Milczących nabiera wyraźnych kształtów. Wariatka. Wiedźma. Zwykle taka bywam. Teraz jestem jedynie szalona. Na oczach Feniksa wychodzę zza powalonego konara i idę w kierunku wilków.

– *Co ty robisz?! Zwariowałaś?* – Tym razem mówi na głos.

Wygląda na przestraszonego. Czyżby mu na mnie zależało?

– *Nie strzelaj do wilków. Proszę.* – Mam nadzieję, że posłucha.

Podchodzę na tyle blisko, że łowcy są na kilka kroków przede mną. Nie są mną zainteresowani. Wyczuwają strach Ruperta. Pełny obaw, lęku i negatywnych myśli. Całkiem uzasadnionych. Odczuwam narastającą w nim panikę. Nie potrafi ukryć swoich emocji. Niesie je ze sobą wiatr. Są na tyle mocne, że przywołują instynkt każdego zabójcy. Spróbuję mu pomóc.

– Hej! Tu jestem! Widzicie mnie? – krzyczę i rzucam w ich stronę niewielki kamyczek.

Trafiam w tułów jednego z wilków. Łowcy odwracają się i powoli podchodzą w moim kierunku. Uspokajam wszystkie negatywne myśli. Próbuję się skupić i przejąć kontrolę nad umysłem. Ale... Nic z tego. Gdy leśne wilki są niemalże na wyciągnięcie ręki, Feniks rusza przed siebie, aby mnie wesprzeć. Niestety potyka się na mokrej ziemi i upada.

Zostałam sama. W mojej głowie króluje totalny mętlik. Z jednej strony chcę krzyżeć. Zżera mnie panika. Z drugiej zaś odczuwam spokój. Ciszę. Patrząc na wydarzenia wokół siebie z perspektywy innej osoby. Wyglądam na wściekłą i pewną siebie, zupełnie jakbym miała wybuchnąć albo zniszczyć wszystko na swojej drodze jak podpalona armatnia kula. Feniks krzyczy. Drze się. Na jego twarzy zauważam powoli opadające kropelki potu. Co się właściwie dzieje?

Mój towarzysz w jednej chwili milknie. Oszołomiony. Zdumiony. Zaszokowany. Przerażony?

Wilki podeszły do mnie. Moje oczy zapłonęły furją, ale odnalazły spokój. Harmonię. Jak woda i ogień. Podnoszę rękę do góry, a łowcy siadają przede mną i merdają swoimi ogonami. Jak zaczarowani. Przez chwilę odnalazłam ich myśli, ale nie zawładnęłam nimi. Zrozumiały, kim jestem i co powinny zrobić.

Już od dziecka wiedziałam. Gorąco tego pragnęłam. Chciałam być prawdziwym czarodziejem, magiem. Nie wiedziałam, że zostanę Vatanem.

Nie mija nawet moment, kiedy w leśnej gęstwinie pojawia się Sędzia. Tym razem nie ma na sobie kaptura. Popatrzył na wilki, które w mgnieniu oka ukryły się gdzieś w krzewach. A może zniknęły? Wyparowały? Nie wiem, czy za sprawą magii, ale na niebie weszło słońce.

Sędzia podchodzi do mnie i mówi:

– Madeleine. Feniks. Rupert.

Las, który miał dać im schronienie, wystawił ich na próbę życia i śmierci. Doczekał się bólu. Doczekał się cierpienia. Doczekał się

niesprawiedliwej śmierci. Chciał zniszczyć wszystko, zapomniał jednak, że nie miał do tego prawa. Istota światła. Koronowana głowa bez korony. Biała dusza znad Cesarstwa pokazała, w czym tkwi oczyszczanie rany. Przywróciła słońce. Otworzyła bramy Hexagonu.

Hexagon. Miasto u szczytu



„U podnóża góry, za szlakiem leśnym góruje
twierdza zarówno tak wspaniała, jak i magiczna”

(AUTOR NIEZNANY)

Wspaniały i niesamowity. Klimatyczny i uroczy. Taki po przekroczeniu bramy wydaje mi się Hexagon. Vatani witają nas na targu. Do moich nozdrzy dociera oszałamiające sympozjum zapachów. Chleb, zioła, mięso, ryby. Jak ja długo nie jadłam przyprawionej ryby! Plac targowy, niezwykle ważna część miasta, znajduje się tuż przy bramach, tak aby kupcy z łatwością mogli dotrzeć na miejsce. Wszystko tutaj wydaje się przemyślane.

Wchodzimy w głąb miasta. Ja i Rupert kierujemy się za Zerritanem, a Feniks prowadzony jest ścieżką w lewą stronę. Ciekawe dokąd. Dziwnie się czuję. Nie miałam jeszcze okazji porozmawiać z Rupertem. W drodze do Hexagonu wymieniliśmy się spojrzeniami. To tyle. Teraz wlecze się za mną i rozgląda dookoła. Mijamy nieznanne budynki, bardzo podobne do tych w Wari Ata. Są stare i pamiętają zapewne kilka pokoleń. Zerritan idzie prosto. Domyślam się, gdzie nas prowadzi. Słyszałam od niego mnóstwo historii o mieście. W centrum Hexagonu znajduje się Plac Ofiarny. Podobno wykonany jest w całości z żelaznych płyt i ma kształt sześciokąta. Wokół niego zbierają się mieszkańcy i razem podejmują kluczowe decyzje.

Jest. Zza ulicznego zgiełku wyłania się to symboliczne i magiczne miejsce. O dziwo Sędzia prowadzi nas w zupełnie inną stronę. Zaczynam się martwić. Co nas teraz czeka? Dlaczego Feniks znajduje się w drugiej części miasta? Piękny kamienny chodnik ustępuje miejsca udeptanej piaszczystej ścieżce. Drepczemy po nierównej drodze, którą z pewnością omijają wszelkie wozy. W oddali maluje się pejzaż olbrzymich świerków. Do płuc dociera słodki zapach kwiatów. Tulipany. Rosną niemal wszędzie. Moim oczom ukazuje się olbrzymia konstrukcja przypominająca cesarską wieżę. Wysoka, szeroka przy ziemi oraz szpiczasta na górze. Czy to jakaś wieża magów?

– Oto Vatanarium. Zapraszam do środka. – Zerritan uprzedza moje pytanie.

Zdani na łaskę gospodarzy, nie mamy wyjścia. Wchodzimy. Drzwi uchylają się, a w środku, co zaskakujące, jest miło i przytulnie. Spodziewałam się dziwnych symboli, czerwieni i czerni, jednak to miejsce wygląda zupełnie inaczej. Vatanarium jest jasne jak płatki słonecznika. Naturalne. Przede wszystkim nie ma nic wspólnego z legendami o Vatanach. Gdzie więc ziarenko prawdy?

Na żółtobeżowych ścianach korytarza, którym podążamy, wiszą pejzaże. Rozpoznaję większość z nich. Widzę ujście Krwawej Rzeki, Świątynię Cesarską w Ati Ata i Rynek w Wari Ata. Jednego z obrazów w żaden sposób nie potrafię zidentyfikować. Przedstawia nieprawdopodobnie wysoką górę, której szczyt znajduje się ponad chmurami. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. Czy tak wyglądała natura na długo przed pojawieniem się Hexagonu? Wydaje się taka nierealna. Chciałabym, aby to miejsce istniało naprawdę.

Najwidoczniej docieramy do celu naszej podróży, gdyż Zerritan każe nam czekać i w ciszy wychodzi. Ja i Rupert stoimy obok siebie. Milczymy. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Na szczęście on pierwszy odzywa się do mnie.

– To co zrobiłaś w lesie... było – przerywa – wyjątkowe.

Rupert próbuje nawiązać ze mną kontakt. Czuję, że w głębi serca to dobry chłopak, który nie wie, co o mnie sądzić. Ja także przerywam ciszę.

– Dziękuję. Może mi nie uwierzysz, ale sama jestem zaskoczona. Jak myślisz, to wszystko jest normalne?

– Nie. Wszystko, co tutaj się dzieje, jest szalone i niezrozumiałe. Dobrze słyszeć, że ty też to widzisz. – Uśmiechnął się, po czym dodał: – Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego Feniks nie poszedł z nami. Domyślam się, że Vatani uznali go za wojownika i wysłali do swoich strażników. Potrzebują ludzi takich jak on, aby miasto było bezpieczne. My, to znaczy ty i ja, potrafimy coś zupełnie innego.

– Co potrafisz Rupercie? – pytam, choć nie oczekuję odpowiedzi. Rupert jednak nie ma zamiaru tego ukrywać.

– Nie mam nadzwyczajnych mocy. Ty także. Wszystko w Lesie Milczących jest... szokujące. Niemniej tak samo jak ty zajmuję się psychiką. Odkrywam przyszłość na podstawie przeszłych wydarzeń. Teraz myślę, że Vatani uznają nas za wyjątkowych. Jak będzie, zobaczymy już niebawem.

Rzeczywiście. Nie zdążyłam odezwać się do Ruperta, kiedy przyszedł do nas starzec z drewnianą laską w ręku. Nie nosił kaptura ani vatańskich szat. Wygląda, jakby pochodził z daleka. Jego skóra przypominająca brudny pergamin wskazuje na to, że nie jest tutejszy. Kilkakrotnie mruga przed nami swoimi piwnymi oczami, być może niedowidzi. Przeciera twarz, otwiera zakurzoną księgę i czyta fragment kolejnej historii:

– W mieście go znaleźli. Lecz o czym mowa? Spokój w ich duszy zastąpiła chęć zemsty, marzenia o szczęściu zamieniły się w dążenie do władzy. Nie mogli stamtąd odejść, choć miasto było bez bram. Musieli zrobić to, do czego zostali stworzeni Pozdrowieni.

Krótką historią opowiedzianą przez starca przeniosła moje myśli w odległą przeszłość. Co stało się z tymi, którzy przed nami wstąpili na Ścieżkę Vatanów? Nie odeszli, choć nie było bram... Czyżby to oni stworzyli Hexagon? Wiem tak mało. Historia tego miejsca przyciąga mnie, ekscytuje i powoduje ciarki na całym ciele. Uspokajam się, chcąc ukryć przed Rupertem swoje zafascynowanie.

– Jesteście na tej samej ścieżce. – Starzec mówi powoli i mimo dziwnego akcentu dobrze go rozumiem. – Waszym ratunkiem było miasto, w którym teraz mamy już bramy. Zapewne niewiele z tego jest dla was oczywiste – zająknął się. – Nazywają mnie Rohoth. Tak naprawdę mam na imię Rohan.

Twarde „h” aż podrażniło moje uszy. Gdzie tak niewyraźnie mówią?

– Widziałem już wiele i znam tę historię, bowiem sam ją przeżyłem. Ale nie czas na opowiadki o mojej przeszłości. Jesteście tu, ponieważ w legendach zapisana jest przyszłość. – Jego źrenice wydają się coraz większe. – Ona pasjonuje was, poraża i przekonuje o sensie istnienia. Waszym pierwszym zadaniem jest poznać Hexagon. Dni spędzone w mieście ożywią w was wspomnienia, bez których dalsza droga jest niemożliwa. Pamiętajcie, przyszłość to przeszłość. To dotyczy zwłaszcza ciebie, dziecko. – Starzec zwrócił się w moją stronę. – Zanim wyjdiesz z Vatanarium, odpowiedz: czy wszystko, co działo się w twoim życiu, miało doprowadzić cię właśnie tutaj?

Zatkało mnie. Przez moje dłonie przeszła fala mrozu, która odbiła się od ciepła dochodzącego z okolic serca. Nie mam pojęcia. Jestem... Byłam córką Cesarza, miałam wyjść za mąż, mieć dzieci, jednak zostałam zepchnięta do lasu. Dowiedziałam się o życiu o wiele więcej niż w pięknych zamkowych komnatach. Czy tak miało wyglądać moje przeznaczenie?

– Nie.

Skąd taka odpowiedź? Nie mam pojęcia. Jakaś zagubiona i trochę naiwna część mnie szalenie wierzy w historię o księżniczce i księciu. Pytam: gdzie jesteś i kiedy mnie wybawisz? W mgnieniu oka starzec wyprowadza nas bocznym wejściem z widokiem na kwatery mieszkalne straży. Dookoła nas spaceruje kilku zagubionych kupców próbujących wciskać ludziom swoje towary. Bezskutecznie. Strażnicy bardzo szybko odprowadzają ich na targ. Tutaj nie mają wstępu. Patrząc przed siebie, w oddali widzę jedynie wystające z szeregu słomiane dachy i mur sugerujący, że tuż za nim kończy się miasto.

Czuję ogromny niedosyt. Hexagon, miasto Vatanów, miał imponować i przerażać, tymczasem przypomina miścinę na prowincji Inu Watu.

Uśmiecham się. Przecież to jest Zakon Potępiających Dobro. Miasto zakonne, które ukrywa o wiele więcej.

Nagle Rupert zwraca się do mnie:

– Musimy się rozdzielić. Wiesz, nasze drogi nie wiodą w tę samą stronę. Dziękuję, Madeleine. Nie zapomnę o tobie. – Pełen wdzięku na ustach lekko skłonił się i powiedział na pożegnanie. – Miło było cię poznać, księżniczko. – Odwraca się i powoli znika pomiędzy przechodniami.

Zostaję sama. Stukot kopyt i kłótnia kupców na placu handlowym tworzą dziwny chaos trafiający w moje wnętrze. Duszę się. Wspomnienia powodują, że nie mogę zaczerpnąć powietrza. Przypomina mi się moje miasto. Myśli znikają pod taflą lodu. Chłodna ręka muska moje ramię. Mimowolnie się obracam. To Feniks.

– A już myślałem, że cię nie znajdę, Made. Byłem w kwaterze wojowników. Opowiadali mi o tobie. Córka Cesarza... Mogłem się domyślić. Masz w sobie to coś. Wiesz co, no nie? – Spogląda na mnie pełen sarkazmu.

– Myślałam, że moja księżniczkowość została w zamku. – Unoszę brwi i wyszczerzam zęby.

Feniks patrzy na mnie rozbawiony.

– Jak widać, nie, jednak dobrze udajesz – odpowiada, po czym dodaje: – Nie byłaś jeszcze w kwaterze Vatanów? Powinnaś się tam udać. Ja tymczasem muszę coś załatwić. – Mija chwila, podczas której wpatruje się we mnie w milczeniu. – Made? – pyta zupełnie innym tonem.

– Tak?

– Będę miał cię na oku – powiedział, a swoją prawą rękę położył na piersi.

Czy to przysięga? Obietnica?

Kierujemy się w przeciwną stronę. Hexagon tętni życiem nie tylko na placu handlowym. Zmierzam wzdłuż kamiennej dróżki. Wbrew zaleceniom Feniksa idę przed siebie. Wiem, do czego zdolna jest moja intuicja. Czy mam na nią jakiś wpływ? Mijam wiele osób. Jedni odziani w czarne szaty zmierzają do kwater z plackami zbożowymi w rękach. Drudzy zaś, ci

w watańskich, bogato zdobionych, brązowych kapturach poszukują u kupców czegoś zupełnie innego. Ziół, siarki, miedzi czy też fiolek. To miejsce zachwyca różnorodnością. Widziałam wiele targów w Cesarstwie, w żadnym jednak alchemia nie cieszyła się tak dużą popularnością.

Mój wzrok ginie na stoisku z fiolkami i innymi akcesoriami magicznymi. Zastanawiam się, kim chciałam zostać w dzieciństwie. Mimo wszystko szpiegiem – odpowiadam w myślach.

Podchodzę do jednego z domostw i ustawiam się pod drzwiami, tak aby podsłuchać cokolwiek. Moja dziecinna ciekawość pozostanie jednak niezaspokojona. Drzwi uchylają się, a ja, zaskoczona tym zajściem, przewracam się o własne nogi i upadam na plecy. Z domostwa, przed którym leżę, wychodzi dwóch zakapturzonych Vatanów. Dobrze zbudowany mężczyzna o brązowej karnacji i rudowłosa kobieta. Patrzą na mnie zupełnie zaskoczeni, następnie rzucają sobie znaczące spojrzenia. Nie wiem, co robić. Ciągłe leżę na ziemi i patrzę na nich oszołomiona.

– Cóż to za maniery tak stać pod drzwiami nieznajomych? Co sobie myślałaś? Mów, kim jesteś! – krzyknęła do mnie rudowłosa kobieta.

– Z kim ty rozmawiasz?! Agness! To przecież intruz! Kto ją wpuścił do miasta?! – krzyczy mężczyzna.

– Zaraz! Czekaj. To przecież jest ona – mówi Agness i odkrywa swoją twarz. Niemożliwe. Kiedyś już ją widziałam. Dawno, dawno temu.

– Co? Nieprawdopodobne. – Mężczyzna patrzy w moją stronę, po czym gwałtownie się odwraca.

Szepczą między sobą. Uważnie się przysłuchuję, może dowiem się, o co tutaj chodzi. Czy wiedzą, kim jestem? Co ja narobiłam... Szpiegować magów w Hexagonie. Niezły występ jak na pierwsze godziny w mieście. To się przedstawiłam... Zerritan pewnie się wścieknie. Aż strach pomyśleć.

Po chwili nasza rozmowa toczy się dalej.

– Doprawdy, Madeleine, masz zaszczyt poznać parę królewskich Vatanów. Może pamiętasz... Widzieliśmy się kiedyś w zamku. – Mimo niezręcznej sytuacji Agness się uśmiecha.

Teraz wiem, skąd ich kojarzę. Służyli na dworze mojego ojca.

– Spotkaliśmy się już, pamiętasz? – Mężczyzna mruga w moją stronę i ściąga kaptur.

Duże niebieskie oczy i śliczne perłowe zęby. To przecież czarodziej Vernon, nazywałam go tak w dzieciństwie. Minęło już tyle lat... Pamiętam, że bawiłam się otrzymanym od ojca pierścieniem. Dodawał mi energii. Myślałam, że dzięki niemu jestem czarodziejką. Wystarczyło go założyć. Wtedy czułam, że to jest takie proste. Gdy na dworze z cesarskiego polecenia pojawili się Vatani, chciałam ich koniecznie poznać. Wymusiłam na ojcu, aby pozwolił mi się z nimi zobaczyć. Agness i Vernon przybyli, aby oczyścić miasto z klątwy rzuconej przez złego Val-Ahla, oczywiście w zamian za zapłatę. Po wykonaniu zlecenia szybko wynieśli się z Inu Watu. Co ojciec obiecał im w zamian za pomoc? Nie mam pojęcia. O klątwie nie było już jednak mowy.

– Madeleine? Jesteś tu? Nie bój się. Jak już słyszałaś, nazywam się Agness. Ten wulgarny i nieznośny typ obok mnie to tylko Vernon.

– Ej! Nie mów tak. Co za przykład dajesz młodzieży? – wzburzony mężczyzna odwraca głowę.

– Mówiłam, że się na tobie odgryzę. – Agness uśmiecha się w stronę Vernona, po czym zwraca się do mnie: – Powiedz nam, moja droga, jak tutaj trafiłaś. Co cię wzięło na podsłuchiwanie? Gdyby to był ktoś inny... – Zacisnęła pięści. – Ach, uważaj, co robisz. Mówiono nam, że jesteś w Hexagonie. Nie spodziewaliśmy się, że spotkamy cię tak szybko. Mów, drogie dziecko. Mów, jak tu trafiłaś.

– Szłam przed siebie. Po prostu. Usłyszałam rozmowę. Wybaczcie mi. Już nie będę bawić się w szpiega. – Uśmiecham się, nie ukrywając zawstydenia.

– Będziesz – Agness się śmieje – jednak nie rób tego w Hexagonie.

Nie wiem, o czym ona mówi, ale w jej słowach widzę większy sens.

– Jestem trochę... zagubiona. Miło mi was poznać. Pomożecie mi zrozumieć moją przeszłość? – pytam, ściskając dłonie pełna lęków i obaw.

– Pewnie. Wchodź do środka. Zaparzę herbatę.

Wróżenie z fusów



„341. Vatani to niegroźne istoty”

(ZBIÓR TYSIĄCA KLAMSTW)

– Jesteś tego pewna? – Vernon szczyrzy zęby w stronę stojącej w kuchni Agness, zupełnie mnie ignorując.

– Tak mówił mój dziadek. *Herbata jest napojem bogów. Tam, gdzie jej nie piją, nie mają duszy.* Był czasami trudnym człowiekiem, ale herbatę miał dobrą. – Vatanka na środku białego obrusa kładzie olbrzymi dzban pełen „napoju bogów”. Przez chwilę patrzy na mnie, więc próbuję jakoś włączyć się do rozmowy.

– Mój ojciec czasami pijał herbatę. Przez masę obowiązków nigdy nie zdążał spróbować jej gorącej. Kiedy docierał do komnaty, była zupełnie zimna. – W głębi serca się cieszę. Wspomnienia, które do tej pory wypierałam, nadal są częścią mnie. Zjawiskowe. Nieuchronne.

– Tak bywa z ludźmi będącymi u władzy, Madeleine. Bardzo chcą być blisko swojej rodziny, ale... No właśnie, zawsze jest jakieś „ale”. Nie masz mu chyba tego za złe? – Vernon opiera swoją rękę o stół i czeka na moją odpowiedź. Chodzi mu o coś więcej...

Nie wahając się długo, odpowiadam:

– Skądże. Doskonale go rozumiem.

W pokoju Vatanów panuje chwilowa cisza. Kobieta wyciera porcelanę i odkłada ją na bok, a mężczyzna wpatruje się w obraz wiszący nad nami. Pejzaż morski, bezkres wody. Przestrzeni.

– Opowiesz mi o tym miejscu? – pytam Vataka, który nie wie, o czym, czerwienieje.

– Dziecko, widzisz, to tak, jakby patrzeć gdzieś w dal. Czy istotne gdzie i dlaczego?

– Nie rozumiem – odpowiadam, czekając na coś więcej.

– Las za nami mówi o tym, jak wiele przeszliśmy, a ten pejzaż pokazuje, ile jeszcze przed nami. Uwierz mi. Zrozumiesz to uczucie. Poczujesz nieskrępowaną wolność. A dla mnie... Ten obraz przypomina mi młodość.

Patrzę jeszcze przez chwilę na Vernona, który mówił szczerze o tym, co czuje. Do rozmowy włącza się wreszcie Agness, która wróciła z ziołami w rękach.

– No dobra, dość już tych wzruszeń, mój drogi. – Klepie go po ramieniu. – Widzisz, co narobiłaś? – mówi do mnie. – Przeszłość i przyszłość, Madeleine, to dwa końce tego samego sznura. Jedno i drugie jest dokładnie tym samym, lecz tego, co było, nie da się zmienić. To właśnie powinnaś dostrzec. Co widzisz? – Agness pyta mnie o obraz, który przywołał wspomnienia Vernona.

– Przestrzeń – odpowiadam. – Przyszłość.

– Vernon, patrząc na ten sam obraz, widzi przeszłość i przyszłość. Czy teraz już rozumiesz? Wspomnienia i pragnienia. Tego właśnie szukasz.

Faktycznie. Do tej pory próbowałam zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. W ten sposób nie osiągnę swojego celu. Chcę przejść próbę. Zostać Vatanem. Iść do przodu i stanąć na samym szczycie. Marzę, aby zobaczyć ten widok.

Magowie spoglądają na mnie z zaciekawieniem. Nie mam pojęcia, o co im chodzi. Oczy Agness świecą się z zazdrości. Z jakiego powodu? Chodzi im o pierścień. Jego moc, muszą ją odczuwać. Zabawne, tak bardzo mi na nim zależy, a nic o nim nie wiem. Czy Vatanowie mogą mieć dobre zamiary? Co robić? Komu zaufać?

